Rok VIII. 30-go kwietnia 1889 r. Nr 7 i 8

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Szwajcaryi, Francyi, Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłka w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

PRZEDPŁATA WYNOSI.
W Austryi 5 guldenów. W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedyncze go 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych.

Adres Redakcyi i Administracyi: GENÈVE, Chemin Dancet 15, Imprimerie de l'Aurore.

TANIEC NA WULKANIE

Gdy sto lat temu zebrał się we Francyi parlament, który miał dać hasło do wielkiej rewolucyi, szlachta pokazała się w przepysznych strojach wyszywanych złotem i drogimi kamieniami, tymczasem przedstawiciele burżuazyi ubrali się w skromne, czarne ubiory. Pełni wiary w swe ideały i zapału, gotując się do walki na śmierć i życie, ludzie ci nie dbali o przepychy i zbytek, przeciwnie, szczycili się swą prostotą i starali się w niej wzajemnie prześcignąć.

Dziś co za zmiana! Potomkowie dawnych, niepokalanych i surowych członków konwentu francuskiego oraz senatu amerykańskiego współzawodniczą między sobą w zbytku i rozpuście. Utrzymanki, na które trzeba wydawać milijony, stajnie, pełne koni cugowych, pałace, bale codzienne są obecnie warunkiem życia dla każdego kapitalisty. Ich własne żony są tylko wystawą, na której się wywiesza jak największą ilość brylantów i koronek, by uczynić reklamę firmie. W chwili, gdy to piszemy, w Paryżu rozpoczyna się wielka orgija, która ma trwać do późnej jesieni: z całego świata zjeżdżają się bogacze, kapitały puszczone są w obieg przyspieszony, każdy ma nadzieję wyszachrowania ogromnych pieniędzy, przytem każdy będzie się starał użyć przyjemności, które stoją otworem w wielkiem mieście dla człowieka bogatego. Obok uczt i przyjęć urzędowych zakwitnie rozpusta potajemna; król belgijski i następca tronu angielski przywiozą swe haremy dziewcząt nieletnich, brakować będzie co prawda króla bawarskiego i cesarzowej austryjackiej, ale tych doprowadziły już do śmierci lub szaleństwa nadużycia, nieraz przeciwne naturze.

Cóż to znaczy? Czy mamy do czynienia z klasą dojrzałą, pewną swej siły i spoglądającą śmiało w przyszłość? Wszakże tylko ludzie pewni, że wszystko im ujdzie bezkarnie, mogą tak bezczelnie naigrawać się z uczuć ludzkich, marnotrawić pracę milijonów i oddawać się rozkoszom. Nie! Ludzie ci nie mogą przypuszczać, że rządy ich zaprowadziły na ziemi szczęście; jadąc na bal w karecie nie mogą nie dostrzedz długich szeregów nędzarzy, czekających u drzwi domów noclegowych na nędzny, jednodniowy przytułek. Wreszcie burżuazyja tak dobrze wie o nędzy, która ją otacza, jak morze drobną wysepkę, że stara się ją oszukać obłudą litości i głośno dzwoni sakiewką, przeznaczoną na cele dobroczynne.

Ale ta świadomość nędzy i cierpień ludzkości nietylko nie powstrzymuje burżuazyi od zbytku, ale, przeciwnie, daje jej bodźca.

— Hej... użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz... — mówi sobie burżua, spoglądając przez okno na tysiąc ojców rodziny, których wydalił z fabryki i którzy prędzej czy później przecież upomną się o swoje. To też stara się on w zbytku i rozpuście utopić i wyrzuty sumienia i strach, który go gryzie.

Nie chcemy powiedzieć, żeby każdy burżua dokładnie rozumiał, że panowanie jego klasy ma się na schyłku i z tego powodu starał się odurzyć przyjemnościami, ale całe jego teraźniejsze życie pcha go po tej drodze. Wszystkie ideały dawniejsze zostały obecnie zarzucone: swoboda ludzi lub niezależność narodów, za które dawniej krew przelewano, teraz nie wzruszają członków klasy rządzącej, gdyż proletaryjat mógłby skorzystać z ich zaprowadzenia; powszechne uzbrojenie wszystkich obywateli, powszechne nauczanie — rzeczy, które dawniej uważano za konieczne warunki szczęścia ludzkiego, teraz wydają się burżuazyi groźnemi, nawet nauka zaczyna być prześladowaną, gdyż uwalnia ludzi od przesądów i daje im broń dla walczenia ze zgniłym porządkiem społecznym; jednem słowem wszystko, co dawniej burżuazyja nazywała pięknem i szlachetnem, teraz wydaje jej się niebezpiecznem. Nieszczęścia ludzkości wzmagają się, strach o własną skórę i litość każe szukać środków, któreby im zaradziły, a środków tych nie ma: stare burżuazyja zarzuciła, a nowe poddawane są przez socyjalizm i wzbudzają w niej przestrach i nienawiść. Łatwo więc pojąć, że społeczeństwo burżuazyjne dzisiejsze jeden tylko cel zakreślić sobie może: użyć rozkoszy życia.

Zresztą pod tym względem burżuazyja idzie tylko w ślady swych poprzedników. Za czasów rzymskich, gdy niewolnictwo doszło do tego, że ludność podzieliła się na dwie klasy: tłumy niewolników i garść ich właścicieli, gdy ruina zaczęła grozić samym właścicielom, a polityka jedno tylko zadanie miała: bronić własności i poskramiać bunty, wtenczas rzucono się do rozpusty najwyuzdańszej. W końcu zeszłego wieku, gdy panowanie szlachty miało się ku końcowi, nastąpiło to samo. Szlachta polska nie powstydzi się pod tym względem szlachty francuskiej: gdy ta ostatnia szalała w Wersalu jeszcze po wzięciu Bastylii, w Polsce odbywał się we Lwowie jeden z najhuczniejszych karnawałów po trzecim rozbiorze kraju.

To też burżuazyja, czując zbliżającą się śmierć, hula. Tymczasem przed jej oczami wzbiera fala ludu niezadowolonego, to nowe słowo, które ma pochłonąć stare. Rośnie armija zorganizowanego proletaryjatu, wybuchy rewolucyjne są z każdem nowem pokoleniem bardziej silne i bardziej świadome, a ciągłe miejscowe bunty chłopskie i robotnicze pokazują, że położenie staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Huku armat Komuny paryskiej i odgłosu wybuchów bomb nie podobna zagłuszyć muzyką balową lub śpiewką pijacką. Przeciwko temu burżuazyja używa czego innego: więzienie, ciężkie roboty, szubienica lub kula karabinowa — oto są środki, które mają stłumić rodzące się nowe życie. I tutaj burżuazyja zapatruje się na swych poprzedników: rzymianin w czasie uczty przyglądał się stosowi, na którym gorzeli zbuntowani niewolnicy, dziś car zaprowadza chłostę dla więźniów politycznych, a okrucieństwa, których się dopuszczano nad komunarami we Francyi przechodzą wszystko, co może wymyślić najdziksza wyobraźnia.

Ale wszystko to napróżno. Dnie burżuazyi są policzone. Rozkosze, wśród których ona usiłuje zapomnieć o teraźniejszości, osłabiają jej wolę i czynią ją niezdolną do oporu. Człowiek, oddający się rozpuście, nie jest w stanie zdobyć się na śmiały krok, choćby od tego kroku miało zależeć jego ocalenie. A prześladowanie socyjalizmu zahartuje go tylko, uchroni od zepsucia i od kłótni wewnętrznych, oczyści od dusz słabych, niezdolnych do męczeństwa. Przyszłość należy do niego.

Blanki w ratuszu 31-go października 1870 r.

Gdy dnia 4-go września 1870 r. po bitwie pod Sedanem, cesarstwo upadło we Francyi, zawdzięczać to należy wyłącznie ludowi. Tak zwana lewica parlamentarna, czyli postępowcy, zasiadający w parlamencie, nie mieli bynajmniej ochoty ogłaszać respubliki. Słowo to trwożyło ich mieszczańskie dusze, gdyż obawiali się, by lud nie zechciał zaprowadzić prawdziwej respubliki, takiej, w której nie byłoby miejsca dla nich. To też nawet po haniebnej kapitulacyi sedańskiej nie zażądali oni nic więcej, jak tylko mianowanie komisyi, któraby mogła zastąpić cesarza, wziętego do niewoli przez prusaków. Ale tłum ludzi, który, złamawszy szeregi wojska, wdarł się do parlamentu i żądał natychmiastowego zrzucenia z tronu zdrajców ukoronowanych, dał im do myślenia. Przekonali się, że dalszy opór byłby korzystnym tylko dla socyjalistów, że lepiej było samym stanąć na czele ruchu i przyjąć żądania ludu. Postępowcy opuścili parlament, udali się do ratusza i tam wybrali z pomiędzy siebie rząd tymczasowy, któremu nadali szumną nazwę Rządu obrony narodowej.

Zatem lud stworzył respublikę, ale skradła ją burżuazyja w osobie Julijusza Favre'a, Ferry'ego, Gambetty i innych członków rządu. Rzecz to naturalna. Podczas całego panowania Napoleona lud francuski przywykł widzieć w Gambecie i jego towarzyszach partyję, sprzeciwiającą się rządowi i dlatego oddał im teraz władzę, nie wdając się w to, dla jakich pobudek ci panowie dążyli do rządzenia. Ale dlaczego świadoma część ludu, proletaryjat socyjalistyczny, pozwolił na takie wyrzeczenie się spadku po cesarstwie, bez otrzymania wzamian nawet miarki soczewicy? Dlaczego socyjaliści nie powiedzieli ludowi 4 września:

— Nie masz czego oczekiwać od panów Gambettów i Ferrych, oni cię zdradzą, tak jak cię zdradził Bonaparte?...

Na to odpowiedź znajdujemy w ówczesnym stanie ruchu socyjalistycznego we Francyi. Ruch ten był jeszcze bardzo młody; liczył zaledwo parę lat istnienia i nie czuł się widocznie na siłach do zdobycia władzy. Trzeba było poczekać, aż nowy rząd pokaże swe pazury burżuazyjne i stanie się ludowi również ohydnym, jak i poprzedni, a wtedy natrzeć nań śmiało.

Wkrótce pokazało się, że nie trzeba będzie długo czekać. Niedość, że nowi władzcy bynajmniej nie myśleli o zaprowadzeniu reform socyjalnych, któreby zmieniły położenie tych, dzięki którym dostali się do rządów, ale nawet nie wypełniali tego, co stanowiło przyczynę ich istnienia. Rząd Obrony Narodowej przyszedł do władzy dzięki oburzeniu, jakie zapanowało na wieść o przegranych Napoleona; powinien był zatem przedewszystkiem myśleć o uwolnieniu Francyi od wojsk pruskich. Tymczasem burżuazyja zaczynała już wtenczas tęsknić do pokoju. Straty materyjalne, które spowodowała wojna, nie mogły być zrównoważone zarobkami, pochodzącymi z szacherek przy dostawach do armii, a czy tam Francyja utraci jedną lub dwie prowincyje, czy nawet więcej, o to nie dbali samolubni finansiści. Strata Alzacyi i Lotaryngii

uwalniała ich od niebezpiecznych konkurentów na polu przemysłu fabrycznego, a kontrybucyję wojenną miał zapłacić robotnik w formie podatków. To też burżuazyja nie miała wcale chęci dalszego prowadzenia wojny i wierny jej Rząd Obrony Narodowej bynajmniej nie dbał o uzbrojenie Francyi.

Ale robotnicy zapatrywali się na to zupełnie inaczej. Gdy wojnę wypowiedziano, gdy hordy szpiclów cesarskich latały po ulicach Paryża, rycząc: „do Berlina!“ — wtenczas robotnicy francuscy zwrócili się do robotników niemieckich ze słowami miłości i braterstwa i protestowali głośno przeciwko bratobójczej walce. Ale siły tak francuzów, jak i niemców socyjalistów okazały się zbyt słabemi, by zapobiedz wojnie. Teraz część Francyi znajdowała się w ręku rządu obcego i groził pokój haniebny. Przytem na miejscu rządu cesarskiego była respublika i od ludu tylko zależało doprowadzenie jej do doskonałości. Jej porażka byłaby tryumfem dla monarchistów, którzy mieliby prawo mówić ludności, że respublika nie potrafiła jej obronić od najazdu obcego. To wszystko były przyczyny, dla których robotnicy, pozostając na gruncie solidarności międzynarodowej, żądali dalszego prowadzenia wojny z rządem niemieckim, a nawet zwracali się do proletaryjatu niemieckiego z prośbą o pomoc w tym względzie.

Prezydentem rządu mianowany został generał Trochu (czytaj: Trosziu), uparty klerykał i skryty zwolennik monarchii. W jego ręku była jednocześnie komenda nad wojskami. Otóż Trochu nie dość, że pozwolił prusakom otoczyć Paryż, ale nic nie zrobił, żeby opatrzyć miasto w środki obrony. Mając do rozporządzenia pół milijona mężczyzn, których można było uzbroić i rzucić na armiję niemiecką, Trochu pozwolił się otoczyć 150 tysiącom żołnierzy! Paryżan nie prowadzono umyślnie do boju, albo wystawiano na punkty najniebezpieczniejsze, gdzie ginęli setkami, nie otrzymując żadnych rozkazów. Przytem starano się zniechęcić ludność, ograniczając sprzedaż chleba, rozpuszczając złe wieści itp. Sądzono, że proletaryjat się zniechęci do wojny i sam zażąda pokoju.

Rachuba okazała się mylną. Wieści o porażkach budziły tylko nienawiść i wstręt do rządu i przyczyniły się do wzmocnienia stronnictwa socyjalistycznego. Wtenczas rząd postanowił wytężyć wszystkie siły, by jednem uderzeniem złamać opór ludu i zawrzeć pokój. Sposobność wkrótce się nadarzyła.

Poza murami Paryża istniała tylko jedna poważna armija, mianowicie armija Bazena, zamknięta w fortecy Metz. Póki ta armija trzymała się, prusacy nie mogli użyć wszystkich sił przeciwko Paryżowi, gdyż zawsze groziła im po za plecami dywersyja, a nawet wkroczenie Bazena do Niemiec. Tymczasem Bazen, jak wiadomo, zdradził i poddał się, prawie bez wystrzału, nie probując nawet przebić się przez szeregi nieprzyjacielskie.

Paryż był oblężony i wiadomość o zdradzie nie mogła dojść tak prędko. Rząd skrył ją początkowo. Nikczemność posunięto tak daleko, że gdy jeden z dziennikarzy socyjalistycznych, Feliks Pyat, ogłosił w swem piśmie stratę Metzu, rząd zaprzeczył i nazwał Pyata agentem pruskim, rozsiewającym umyślnie fałszywe wieści. Lud, wzburzony, zniszczył drukarnię Pyata i byłby go zamordował, gdyby nie szybka pomoc przyjaciół.

Z ogłoszeniem nieszczęścia wstrzymano się; tymczasem przygotowano drugie. Wioska z okolic Paryża, Bourget (czytaj: Burże), którą zajęto przed paroma dniami i która była niezmiernie ważnym punktem bojowym, została pozostawioną bez obrony. Prusacy, którzy pojmowali jej znaczenie, wysłali 30 tysięcy żołnierzy przeciwko 3 tysiącom francuzów, którzy ją zajmowali, i pomimo ich bohaterskiej obrony, wyrznąwszy ich prawie do nogi, zajęli wioskę. Wtenczas dopiero rząd ogłosił te dwa nieszczęścia razem, a jednocześnie ogłoszono, że zawiera się zawieszenie broni z rządem pruskim, co oznaczało wstęp do zawarcia pokoju.

Tym sposobem sądzono, że lud paryski pod groźbą zupełnej zagłady, mogącej być wynikiem obu przegranych, przelęknie się i w milczeniu przyjmie zawieszenie broni i pokój, chociaż ten mógł być tylko niekorzystnym wobec ciągłych porażek. Strach miał stłumić uczucia godności, a głośne frazesy o patryjotyzmie kryły wydanie kraju Bismarkowi.

Odezwy rządu, obwieszczające o przegranej i układach z prusakami, rozklejone zostały w nocy z 30 na 31 października. Rano ludność zaczęła je czytać, udając się do roboty. Serca paryżan zawrzały nienawiścią. Jak to?! więc po to zwodzono ich przez dwa miesiące, po to kazano im cierpieć głód, chłód i nędzę, kazano ginąć w błocie rowów fortyfikacyjnych od kul, by teraz wydać ich wrogowi! Ci sami ludzie, którzy jeszcze przed dwoma dniami narazili na śmierć zacnego obywatela, oskarżając go o rozsiewanie fałszywych pogłosek, teraz przyznają się bezczelnie do kłamstwa! Ci, którzy głosili, że nie dadzą nieprzyjacielowi „ani jednego kamienia ze swych fortec, ani jednej piędzi ziemi“ — teraz gotowi są zawrzeć pokój haniebny! Wszystkie te myśli w jednej chwili powstały w umyśle ludu paryskiego i natychmiast przed ratuszem, siedzibą rządu, zaczęły się zbierać kupki ludzi.

Ale rząd był na pogotowiu. Policyja i wojska zajmowały ratusz i odpychały gromadzących się robotników; rząd postanowił nie ustąpić i doprowadzić do końca to, co nazywał obłudnie „bolesnem, ale koniecznem zadaniem.“ Tłumy niezorganizowane nie mogłyby się oprzeć uzbrojonym żołdakom, gdyby im nie przyszli na pomoc socyjaliści.

Ci ostatni byli wtenczas zgromadzeni w znacznej liczbie w Paryżu; Blanki, Flourens, Eudes i inni spiskowcy z czasów cesarstwa wydobyci zostali po 4 września z więzień przez lud lub wrócili z wygnania. Przytem socyjaliści posiadali broń, gdyż w Paryżu zorganizowaną została gwardyja narodowa, do której należeli wszyscy ludzie, będący w stanie nosić broń. Niektóre batalijony gwardyi narodowej wybrały sobie na dowódzców socyjalistów i przestały słuchać naczelników, mianowanych przez rząd. Socyjaliści posiadali zatem siłę pewną i ruszyli natychmiast na ratusz.

Tam pierwsza rzecz, którą uczynili, było to, że wskazali ludowi, czego ma żądać. Mianowicie podnieśli okrzyk:

— Niech żyje Komuna!..

Pod Komuną lud paryski pojmował radę miejską, wybieralną, któraby stała obok rządu i kontrolowała jego czynności. Ponieważ rada, wybrana przez paryżan w takich okolicznościach, byłaby bez wątpienia rewolucyjną, więc rząd nie zechciał zezwolić na wybory. Oto dlaczego kwestyja Komuny nie była wcale kwestyją samorządu Paryża i jakiejś małomiasteczkowej chęci wyodrębnienia się od reszty Francyi, ale była dążeniem ludności paryskiej do władzy, do dyktatury rewolucyjnej. W tem ludność paryska trzymała się zresztą tradycyi wielkiej rewolucyi, kiedy to Komuna paryska panowała nad całą Francyją i rewolucyjonizowała ją swemi rozporządzeniami.

Lud, złączony i zorganizowany przez Blankiego i jego towarzyszy, domaga się ustąpienia rządu i wybrania Komuny. Rząd ze strachu ustępuje częściowo i rzuca przez okna ratusza papierki, na których pisze, że wkrótce przystąpi do wyborów. Ale doświadczenie nauczyło socyjalistów paryskich, ile należy ufać obietnicom burżuazyi, dlatego też nie przestają szturmować do krat ratusza. Nareszcie paru odważnych ludzi wdziera się przez okno do wnętrza i otwiera drzwi; żołnierze nie są w stanie oprzeć się naciskowi i gmach zostaje w mgnieniu oka napełniony ludźmi. W jednej z sal zasiada Rząd Obrony Narodowej. Gwardziści socyjalistyczni otaczają ich i biorą ich do niewoli jako zakładników. Tymczasem w innej sali ratusza okrzyknięty zostaje nowy rząd, który ma się zająć energiczną obroną kraju i przeprowadzić wybory Komuny. Rząd ten składał się z samych socyjalistów i gdyby się utrzymał, oczyściłby Francyję od wojska niemieckiego i od własnej burżuazyi, a przytem rozniósłby słowo socyjalizmu po całej Europie.

Ale wśród socyjalistów, jak w każdej partyi, są ludzie, którzy nigdy nie odstępują od swych zasad, a są i inni, gotowi zawsze do porozumienia się z przeciwnikami. Pierwsi są zwykle mniej liczni i nielubiani przez innych, gdyż nie ma człowieka, któryby lubił, żeby mu przypominano o jego obowiązkach, gdy od nich odstępuje. Tymczasem tylko pierwsi są w stanie doprowadzić ruch jakiś do końca, nie dać się olśnić po drodze chwilowemi zwycięztwami lub korzyścią osobistą. Blanki należał do pierwszych. Dlatego też oprócz jego tajnej organizacyi nikt z nim nie szedł; inni socyjaliści obawiali się jego imienia, gdyż prawie każdy miał z nim jakieś starcie, gdy chciał ustąpić burżuazyi, wbrew zdaniu Blankiego. Później wypadki miały pokazać, że Blanki miał słuszność i że tylko on był zdolny do kierowania ruchem; za czasów Komuny wszyscy to przyznali i żałowali gorzko, że nie mieli go wśród siebie, ale 31 października czas ten widocznie jeszcze nie nadszedł był.

Nazwisko Blankiego w rządzie tymczasowym przestraszyło jednych, nie podobało się drugim. Zaczęły się spory, na które tracono czas drogocenny. Blanki był człowiekiem najskromniejszym w świecie i bynajmniej nie dążył do wyróżnienia się, ale pojmował, że wystąpienie jego z ratusza oznaczałoby powrót do dawnego stanu rzeczy, gdyż tylko on i jego organizacyja byli zdecydowani nie ograniczyć się na półśrodkach, ale pchać Francyję do rewolucyi socyjalnej. Choćby nawet Komuna została wybraną, to wszystko zależało od tego, kto w niej będzie zasiadał; rząd Komuny mógł być tak samo burżuazyjnym, jak i wszystkie inne.

Tymczasem po stronie Blankiego był tylko batalijon Flourensa, składający się z 500 ludzi i garść towarzyszy. Pomimo tego blankiści zwyciężyli i rząd zaczął działać regularnie pod wieczór.

Ale nie dość, że wśród socyjalistów znalazło się wielu takich, którzy stali na przeszkodzie ruchowi, sam lud nie stał jeszcze na wysokości, jaka była potrzebna dla zwycięztwa. Mnóstwo ludzi było oburzonych na Rząd Obrony Narodowej za jego zdrady, ale gdy przyszło go obalić, wielu cofnęło się i wróciło do domu. Inni znowu rozeszli się sądząc, że rewolucyja jest dokonaną i że nie ma co robić więcej. Tu także trzeba było jeszcze całego morza nędzy, głodu i nieszczęść, które proletaryjat przecierpiał podczas oblężenia i całego szeregu zdrad i nikczemności rządu, żeby zrewolucyjonizować rzeczywiście proletaryjat paryski i doprowadzić go do ruchu 18-go marca 1871 roku, to jest do Komuny.

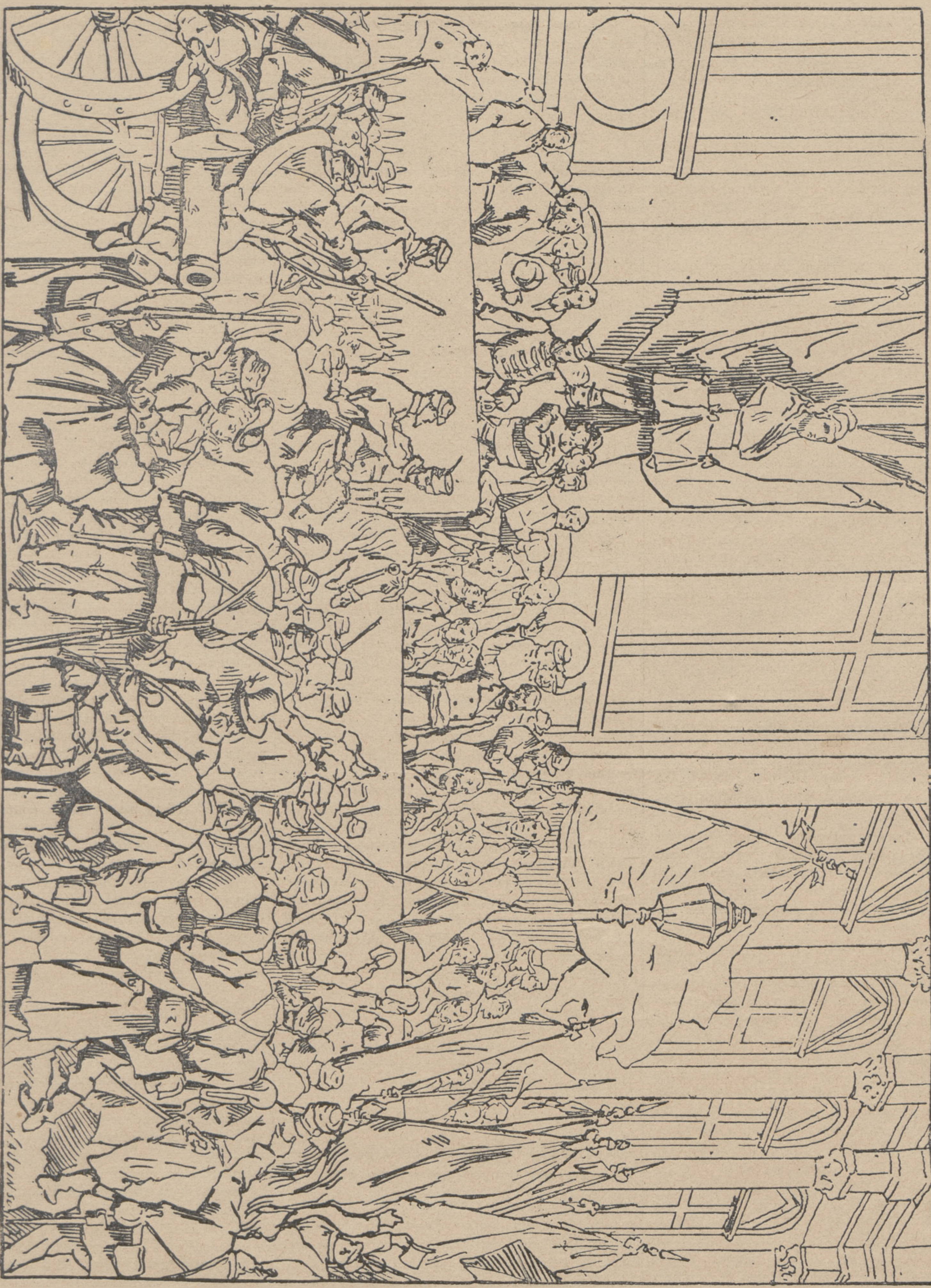
Noc zaczęła nadchodzić, plac przed ratuszem opróżniał się zwolna z robotników, ale na ich miejsce napływały inne, ponure i uzbrojone postacie. Były to burżuazyjne oddziały gwardyi narodowej, sprowadzone przez tych członków rządu, którym udało się zbiedz. Położenie stało się dziwnem. Rząd rewolucyjny był zamknięty w ratuszu, trzymając ze swej strony na uwięzi rząd burżuazyjny. Ale wiadomo, że burżuazyja nie lubi narażać swej skóry, to też nie wieleby zrobiła, gdyby nie żołnierze, którzy zaczęli nadciągać oddziałami. Szczupła ilość ludzi, których rząd rewolucyjny miał do rozporządzenia, uczyniła, że nie mógł obsadzić swymi agentami: ministeryjum wojny, spraw wewnętrznych oraz policyi i t. p. urządzeń; wszystko to pozostało w rękach urzędników burżuazyjnych i chociaż nie ośmieliliby się oni prawdopodobnie oprzeć się rozkazom, pochodzącym od rządu, ale nie otrzymując ich i porozumiawszy się szybko między sobą i z dawnym rządem, stanowili potężną pomoc dla tego ostatniego. Jeden tylko socyjalista, Valles, zdołał zająć cyrkuł, ale wkrótce został zeń wyparty.

Wojsko otoczyło ratusz i zaczęło szturmować do jego drzwi. I tu jednak mogłaby się udać socyjalistom obrona, gdyż mieli dość broni i amunicyi, a przetrzymanie nocy równałoby się zwycięztwu, gdyż lud uwolniłby ich nazajutrz. Ale nie wiedziano o tem, że ratusz łączyły podziemne przejścia z koszarami. Tędy weszły cichaczem dwa batalijony wojska i ukazały się nagle na podwórzu. Trzeba było ustąpić.

Postanowiono skorzystać z tego, że rząd burżuazyjny był jeszcze we władzy rewolucyjonistów i zawarto z nim umowę, na mocy której rząd rewolucyjny ustępował, ale otrzymał słowo honoru od rządu Obrony Tymczasowej, że nazajutrz zrobione zostaną wybory do Komuny i rządu regularnego i że nikt nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności za wypadki nocy 31-go października.

Potem rewolucyjoniści wyszli dumnie, między dwoma szeregami żołnierzy, którzy z podziwem patrzeli na ich małą ilość.

W ten sposób zakończył się ruch, który zawdzięczać należy wyłącznie blankistom i który



Blanki w ratuszu paryskim 31 pazdziernika 1870 roku

mógłby mieć nieocenione wyniki, gdyby proletaryjat stał już wówczas na wysokości pojęć tych ludzi.

Czy trzeba dodać, że burżuazyja nie dotrzymała słowa, tak uroczyście danego rządowi rewolucyjnemu! Wyborów Komuny nie urządzono, a po kilku dniach zaczęły się areszty i procesy. Niezmiernie okrutne były wyroki; wielu skazano na śmierć, ale wykonanie nie nastąpiło, gdyż jedni z uwięzionych (jak Flourens) zostali przez przez lud uwolnieni, inni skryli się; wreszcie nadeszła Komuna, a z nią rozlew krwi, który odwrócił uwagę od rewolucyi 31 października.

ŚMIERĆ FLOURENS'A I DUVAL'A

(patrz rysunek na str. 5-tej.)

Gdy po wybuchu Komuny, rząd burżuazyjny uciekł do miasteczka Wersalu, znajdującego się o kilka mil zaledwo od Paryża, siła znajdowała się po stronie robotników. Garść żołnierzy, którą zdołano zgromadzić w Wersalu, tak była zniechęcona, że trzeba ich było trzymać między dwoma szeregami policyjantów i żandarmów, gdyż inaczej rozpierzchliby się byli. Gdyby wtenczas owe 200 tysięcy gwardyi narodowej, które dokonało rewolucyi, wyruszyły na Wersal, to nie pozostawiłyby ani śladu z Thiersa, parlamentu, wszystkich giełdziarzy i wszystkich utrzymanek, zgrai, ośmielającej się wówczas przemawiać w imieniu całej Francyi.

Ale tego nie zrobiono. Poprzednio już wyłożyliśmy obszerniej powody, które powstrzymały proletaryjat paryski od ataku na wersalczyków, tu ich powtarzać nie będziemy; powiemy tylko, że złożyły się na to i nieszczęsne teoryje federalistyczne, według których Paryż powinien był robić rewolucyję tylko u siebie i nie miał prawa mięszać się do czynności innych gmin i miast francuskich, brak dyscyplinowanej organizacyi oraz zbyteczna ufność proletaryjatu, który nie chciał wierzyć, by burżuazyja była na tyle dziką, żeby bombardować Paryż i niszczyć skarby nauki i sztuki, zapełniające stolicę kraju. Rzeczywistość zdarła wkrótce zasłonę z oczu, ale już było zapóźno.

Thiers, naczelnik rządu burżuazyjnego, pojmował dobrze, że przedewszystkiem należy odciąć Paryż od prowincyi. Kilkanaście miast prowincyjonalnych ogłosiło u siebie Komunę; w połączeniu z Paryżem stanowiłyby one olbrzymią i niezwyciężoną siłę; tymczasem każde oddzielnie mogło być z łatwością pobite. Oprócz tego armija paryska mogła być znacznie zwiększoną przypływem chłopów ze wsi okolicznych, którzy daliby ochoczo rekruta, gdyby wiedzieli, że dostaną za to ziemi; wreszcie, otoczywszy Paryż, można było bezkarnie rozpuszczać najpotworniejsze bajki o jego ludności. To też już 1 kwie-

tnia Thiers w swym rozkazie dziennym mówi, że zgromadzoną została „najpiękniejsza armija, jaką Francyja kiedykolwiek widziała“ i rozkazuje jej obsaczyć Paryż. Ta „najpiękniejsza“ armija składała się z generałów, którzy mieli jeszcze na sumieniu wszystkie zdrady i przegrane wojny pruskiej i z 35 tysięcy nędznie uzbrojonych żołnierzy. Pomimo tego otoczono Paryż i zaczęto go bombardować.

Gdy pierwsze bomby zaczęły z trzaskiem pękać na przedmieściach, ludność Paryża zawrzała oburzeniem.

— Jakto... — wołano — znowu ma się rozpocząć oblężenie z wszystkiemi swemi nieszczęściami?..

Zrozumiano, jakim błędem było nieatakowanie wroga i zaczęto się domagać walki energicznej. Na ulicach wkrótce rozległ się bęben, gwardyja zaczęła się zbierać, a u wszystkich było na ustach:

— Do Wersalu!..

Ale w radzie miejskiej i w komisyi wojny większość trzymała się starych poglądów i przeciwną była atakowi. Mniejszość, składająca się z jakobinów, domagała się upoważnienia do ataku na Wersal i ostatecznie po długich rozprawach, wszyscy rozeszli się 2 kwietnia, nie uchwaliwszy nic. Tym sposobem generałowie Komuny nie mieli wprawdzie rozkazu rozpoczęcia walki, ale nie mieli też wyraźnego zakazu.

To też postanowili oni wykonać atak na swoją rękę, opierając się na tem, że wyraźnie im to zakazanem nie było. Plan ataku, który trzech z pomiędzy nich ułożyło, był niezmiernie prosty: Bergeret i Flourens (czytaj: Berżere i Flurans) mieli atakować nieprzyjaciela na prawym brzegu Sekwany, tymczasem dwaj inni, Eudes i Duval (czytaj: Ed i Diuwal) natrzeć z wielką siłą na pozycyje, leżące po lewym brzegu, złamać je i zająć Wersal. Plan był prosty i łatwo wykonalny, jak tego wymagała młodość i niedoświadczenie armii, dlatego zwycięztwo byłoby prawdopodobnie osiągniętem, gdyby nie różne przeszkody.

Przedewszystkiem szkodzili niektórzy urzędnicy Komuny, wiedzący o niechęci większości do ataku; nie dawali oni pomocy, koniecznej dla szybkiego posuwania się wojsk; powtóre nieład, który panował w szeregach i który pochodził ztąd, że dowódzcy byli ludźmi wprawdzie bardzo dzielnymi, ale nie znającymi się na rzeczy.

Pomimo tych przeszkód, około północy zgromadzono na 4 placach Paryża trzydzieści kilka tysięcy gwardzistów i o pierwszej rano, 3 kwietnia, ruszono do ataku. Z początku szło dobrze. Kolumna Bergeret'a spędziła nieprzyjaciela z pozycyi i posuwała się naprzód, gdy nagle zaczęły się sypać na nią granaty; po chwili dostrzeżono, że padają one z fortu, zwanego Mont Valerien (czytaj: Mą Waleryję). Trzeba zaś wiedzieć, że paryżanie byli przekonani, iż fort ten do nich należy i wiadomość o jego obsaczeniu przez wroga nie doszła do nich wskutek nieładu, który panował w wydziale wojny. Nic też dziwnego, że na widok bomb, sypanych z fortu, który uważano za swój, żołnierze zaczęli krzyczeć:

— Zdrada!.. — i rozbiegli się.

Zdołano ich uspokoić i poprowadzono znowu do ognia, ale młody i niedoświadczony żołnierz łatwo traci zapał, przytem dano nieprzyjacielowi czas do opamiętania się.

To też wkrótce ze wszystkich stron zaczęły nadciągać oddziały wersalczyków. Armija Bergereta i tak przerzedzona wskutek mniemanej zdrady, nie wytrzymała i cofnęła się do Paryża. Flourens oświadczył, że się nie cofnie, choćby miał sam pozostać, gdyż w planie ataku jego korpus ma wyznaczone miejsce poza murami Paryża. Napróżno starano się go nakłonić do odwrotu. Garść ludzi, którzy przy nim pozostali, topniała z każdą chwilą. Nareszcie nadbiegł silny oddział konnicy i rozproszył lub wziął do niewoli resztę. Flourens zginął śmiercią walecznych: otoczony przez żandarmów, padł z rozrąbaną czaszką.

Wbrew wszelkim zasadom wojny wersalczycy rozstrzeliwali natychmiast większą część więźniów! Dopiero gdy nazajutrz Komuna wydała rozporządzenie, w którem groziła rozstrzelaniem trzech wersalczyków za jednego komunara, to bezeceństwo ustało. Powtórzyło się ono później, ale dopiero wtenczas, gdy armija wersalczyków wchodziła do Paryża i pewną była zwycięztwa.

Zobaczmy teraz, co się działo na lewem skrzydle. To postępowało z początku naprzód, ale napotkało pod wioską Meudon silny oddział grenadyjerów, którzy oszańcowali się tam w pozycyi niezdobytej. Gdyby mieć choć trochę armat, możnaby było łatwo wyprzeć ich z pozycyi, ale Eudes miał tylko 5 dział, a i te posiadały zaledwo po 8 nabojów. Tymczasem w Paryżu stało bez użytku kilkaset nowych, doskonałych armat! Duval posunął się dalej od Eudes'a, ale też musiał się zatrzymać przed przeważającemi siłami nieprzyjaciół. Przytem zwolna zaczęły nadciągać pułki z prawej strony rzeki.

Zatem wycieczka nie udała się. Zaczęto się cofać i około południa poza murami Paryża pozostał jeszcze tylko oddziałek Duvala, który zdołał zająć wzgórze Chatillon, będące ważną pozycyją dla Paryża. Tutaj rozegrała się tragedyja, pamięć której pozostanie na wieczne czasy drogą dla obrońców sprawy ludowej.

Masy wersalczyków rozbijały się o bagnety komunarów, jak morze o skały granitowe. Ale na miejsce pułków znużonych pryybywały świeże, podczas gdy gwardziści narodowi nie otrzymywali znikąd pomocy. Wreszcie przemoc zwyciężyła, mała garstka komunarów wziętą została do niewoli. Jednak dla złamania ostatniego wysiłku wróg musiał użyć słowa honoru, zapewniającego więźniom nietykalność. Słowo, dane w chwili podobnej, dotrzymywanem bywa nawet przez narody dzikie.

Ale wróg postępował gorzej od dzikich. Zaledwo komunarzy złożyli broń, rozdzielono ich, poczem rozstrzelano na miejscu tych, którzy służyli dawniej w armii. Resztę popędzono ku Wersalowi między dwoma szeregami żołnierzy. Po drodze napotkał ich generał Vinoy (czytaj: Winua), który wyjechawszy na koniu przed więźniów, spytał się:

— Kto z was jest wodzem?

— Ja!.. — odpowiedział natychmiast Duval, wyszedłszy z szeregu; za nim wysunął się szef jego sztabu.

— Cobyś ze mną zrobił, wziąwszy mnie do niewoli?.. — brzmiało dalsze zapytanie.

— Rozstrzelałbym cię, jako zdrajcę Francyi przed prusakami...

Vinoy skinął na żołnierzy, ci postawili obydwóch mężnych pod murem i rzzstrzelali ich. Zginęli za to, że nie chcieli nawet w obliczu śmierci odstąpić ani na jeden krok od swych przekonań.

Tak skończyła się nieszczęśliwa wycieczka 3 kwietnia. Skutki jej byłyby daleko gorsze, gdyby nie bohaterstwo Flourensa i Duvala. Ale ich śmierć zagrzała paryżan taką odwagą, że postanowili zginąć a nie poddać się. Ludność dowiodła swego męztwa w dwa miesiące później, podczas krwawego tygodnia.

Co znaczył wolny handel i dlaczego go teraz nie ma?

Nie tak dawne były te czasy, w których dzisiejszy kapitalizm rozwinął się i silnem życiem zaznaczył epokę „cudów przemysłu.“ Produkcyjność pracy zaczęła wtedy olbrzymio wzrastać, a dla tej tak spotężniałej działalności szranki ówczesnych rynków okazały się za małe.

Podczas kiedy dawniej jeden i ten sam kraj był podzielony na mnóstwo drobnych okręgów, stanowiących zamknięte w sobie rynki, z chwilą rozwoju kapitalizmu granice nawet krajowe stanęły przeszkodą dla dalszego rozwoju przemysłu.

„Znieśmy granice“ — wołała burżuazyja — „zaprowadźmy braterstwo ludów... w przemyśle.“ „Niech żyje międzynarodowy przemysł, międzynarodowy handel!“ — odpowiadał chór przemysłowców, handlarzy wszelkich narodowości, a nauka ekonomiczna wytworzyła teoryję wolnego handlu w kraju i między krajami. Cały świat miał, według tej teoryi, zostać zgodnym warsztatem, z którego towary iść miały bez przeszkody do wszystkich choćby najbardziej odległych zakątków.

Powierzchnia lądu została pokrytą siecią kolei żelaznych, morze poczynały przecinać niezliczone parowce, a ideałem zostało wprowadzenie wolnego handlu, zniesienie wszelkich przeszkód: wwozu lub wywozu towarów, wszelkich opłat, ceł itd.

W teoryi zasada wolnego handlu poczynała przybierać rolę obrońcy ludu, dążącego do zaoszczędzenia biednym klasom tych opłat, które dotychczas leżały na towarach, a w szczególności ceł.

Otóż cłem nazywają opłatę, którą właściciel towaru, wyrobionego w innym kraju, musi składać, przewożąc go przez granicę. Naturalnie, że towar staje się wskutek tego droższym, gdyż fabrykant musi sobie odbić stratę, jaką poniósł płacąc cło. Ale cło ma jeszcze jeden skutek, mianowicie: wpędza pieniądze do kieszeni fabrykantów miejscowych. Oni także mogą podnieść ceny swych towarów, gdyż konkurencyja zagraniczna przestaje im grozić. Objaśnimy to na przykładzie:

Przypuśćmy, że łokieć wstążki sprzedaje się w Niemczech po 20 kopiejek, a w Królestwie po 21 kop.; w takim razie większa część ludzi będzie kupowała wstążkę niemiecką, a właściciel wstążki, wyrabianej w kraju, będzie musiał zadowolnić się mniejszą ilością kupców. Ale oto rząd nakłada na wstążkę niemiecką 5 kop. cła; odtąd fabrykanci niemieccy będą musieli sprzedawać ją po 25 kopiejek, podczas gdy polscy, sprzedając po 24 kop., przeciągną do siebie klijentów i jeszcze zarobią o 3 kop. na łokciu więcej, niż poprzednio.

Widzimy więc że cła powinny przynosić korzyść burżuazyi, a mianowicie fabrykantom. Szczególniej wielką była ta korzyść przy powstawaniu przemysłu. Mieszkańcy kraju, w którym przemysłu nie ma, używają produktów, które są im nadsyłane przez fabryki obcokrajowe. Dlatego, jeżeli w takim kraju jakiś kapitalista chce założyć fabrykę, to musi zwalczać dużo trudności, by odebrać klientelę fabrykantom obcym. Chcąc zwalczyć przyzwyczajenia ludzkie, taki fabrykant musi produkować taniej i lepiej od innych. Tymczasem zwykle bywa przeciwnie. Młoda burżuazyja każdego kraju odznacza się zwykle wielką nieznajomością rzeczy, kiepską fabrykacyją, ale za to niepomierną chciwością; tem objaśniamy sobie jej gwałtowne domaganie się ceł, któreby ochroniły ją od obcej konkurencyi i pozwoliły jej narzucić współrodakom lichy a drogi towar.

Taki stan rzeczy istnieje zwykle przy narodzinach przemysłu w jakimś kraju; wszystkie kraje przeszły przezeń po kolei. — Ale po pewnym przeciągu czasu w niektórych z tych krajów przemysł doszedł do takiego stopnia rozwoju, że przestał obawiać się konkurencyi zagranicznej. Takim krajem była Anglija. Na początku tego wieku w Anglii istniała olbrzymia ilość fabryk, które produkowały taniej i lepiej, niż fabryki cudzoziemskie; maszyny angielskie doskonalsze były od obcych, istniała znaczna ilość robotników fachowców, kapitału nie brakło, produktów miano tyle, że nie podobna było znaleść na nie kupców w kraju; dlatego trzeba było koniecznie otworzyć sobie dostęp do innych krajów, by uszczęśliwić je angielskiemi tasiemkami i igłami.

Ale we wszystkich krajach istniały cła, które nie dopuszczały towarów angielskich; trzeba było zatem znaleść jakiś środek, któryby skłonił te kraje do uchylenia ceł. Takim środkiem było otworzenie granic Anglii towarom obcym. Anglija była krajem przeważnie przemysłowym, w innych krajach górę trzymało rolnictwo, to też znosząc cła angielskie, dawano obcym narodom nadzieję wysyłania swego zboża do Anglii i wzamian otrzymywano od nich zniesienie ceł na towary angielskie. Ale nie tak to łatwo poszło fabrykantom angielskim; w swoim kraju napotkali oni na silny opór ze strony wszystkich tych, którzy mogli stracić na otwarciu granic angielskich. W pierwszej linii ich przeciwników stali właściciele ziemscy, którzy ciągnęli ogromne dochody ze swych majątków z powodu drożyzny zboża i obawiali się, że je stracą, gdy obce zboże znajdzie dostęp. Dlatego fabrykanci rozpoczęli ogromną agitacyję za zniesieniem ceł, czyli — jak się wyrażali — za zaprowadzeniem wolnego handlu.

Wolnohandlowcy, jak ich nazywano, używali wszelkich środków, by złamać opór zwolenników ceł; ponieważ same interesy fabrykantów nie wystarczyłyby dla pociągnięcia ludności za sobą, więc starano się wmówić w nią, że wolny handel jest najlepszą rzeczą w świecie. Jednym mó-



Śmierć Duvala

wiono, że zniesienie ceł i zaprowadzenie wolności handlowania między wszystkimi narodami jest koniecznym warunkiem swobody człowieka, — innym, że wskutek tego wszystkie produkty stanieją, — innym wreszcie, że od tego rozwinie się przemysł, a rozwój przemysłu zapewni szczęście ludowi itp. Założono towarzystwa, które drukowały setki tysięcy broszurek ludowych, mających na celu wpajanie powyższych zasad w umysły ludu, agitowano zapomocą pism, zebrań itd.

Wreszcie około 1848 r. wolnohandlowcy zwyciężyli w Anglii i jej granice zostały otwarte dla obcych towarów. Inne kraje poszły za jej przykładem dopiero póżniej, ale mniej więcej w szóstym lat dziesiątku w większej części Europy zapanował wolny handel. Wtenczas dopiero zaczęto produkować dla całego świata w całem tego słowa znaczeniu. Mając targi wszystkich krajów otwarte, fabrykanci rozpoczęli między sobą walkę śmiertelną w celu ich owładnięcia. Fabryki rosły jak na drożdżach, sprowadzano coraz to nowe maszyny, sprzedawano towary za bezcen, byle tylko wyprzeć współzawodnika z jakiejś miejscowości.

Wynikiem takiego stanu rzeczy było znaczne zwiększenie się t. zw. kryzysów. Kryzysem nazywają zastój, który następuje w produkcyi, gdy zostanie wyrobioną tak wielka ilość towarów, że publiczność nie jest w stanie jej rozkupić. Wtenczas fabryki, nie znajdując kupców na swe wyroby, zmuszone są oddalić część robotników, zmniejszyć produkcyję, a często i zatrzymać ją zupełnie. Naturalnie, że wówczas wielu z nich bankrutuje, jeżeli nie posiada kapitału dostatecznego dla przetrzymania kryzysu; to pociąga za sobą ruinę innych, związanych z nimi interesami lub kredytem, jednem słowem mnóstwo ludzi traci na zamożności, a nawet wpada w nędzę. Stan taki trwa dopóty, dopóki większa część towarów nie zostanie wykupioną. Wtenczas zwolna fabryki zaczynają dostawać nowe zamówienia, produkcyja wzrasta, ruch interesów ożywia się i wszystko idzie naprzód krokiem coraz bardziej gorączkowym, póki targi znowu się nie przepełnią towarami i nie nastąpi nowy kryzys.

Otóż takie kryzysy istniały i dawniej, ale nie były tak gwałtowne, gdyż produkcyja ograniczoną była potrzebami jednego kraju. To też nie produkowano jeszcze zbyt olbrzymich mas towaru i kryzysy nie potrzebowały trwać tak długo. Oprócz tego nie były powszechne, ale ograniczały się na jednym lub kilku krajach i odbijały się na innych tylko o tyle, o ile wszystkie one miały pewne wspólne interesy pieniężne. Tymczasem po zniesieniu przeszkód, tamujących ruch towarów między krajami, chociaż targ jednego kraju był przepełniony, jednak kryzys jeszcze nie nadchodził, gdyż można je

było zbyć w innych. Ale za to przychodziła chwila, gdy nigdzie nie znajdywano kupca, a wtenczas następował straszny zastój, podczas którego setki tysięcy kapitalistów traciły fortuny, a milijony robotników — utrzymanie.

Burżuazyja jednak nie dużo sobie z tego robiła. Jej opiniją kieruje najbogatsza część, wielcy bankierzy i giełdziarze, a ci niewiele tracili na kryzysach; przeciwnie, nieraz zyskiwali, gdyż mieli środki, żeby je przeczekać, a tymczasem skupywali za bezcen zbankrutowane przedsiębiorstwa. Zresztą większa część burżuazyi była jeszcze w upojeniu od łatwych zdobyczy, jakie przyniósł jej wolny handel. Socyjaliści już wtenczas istnieli i krytykowali ustrój kapitalistyczny, ale burżuazyja pełną była wiary w siebie i objaśniała sobie niektóre ciemne strony niedostatecznem rozwninięciem się zasad kapitalizmu.

Ale zwolna te ciemne punkty zaczęły zlewać się z sobą i zamieniać się w groźne chmury. Kryzysy, które dotychczas były zjawiskami krótkotrwałemi i zwykle pociągały za sobą rozkwit przemysłu, zaczęły się uwieczniać. Nareszcie przyszło do stanu, który trwa dotąd, — kryzys stał się ciągłym. Niekiedy, w niektórych gałęziach przemysłu, położenie polepsza się, ale wogóle wszystko jest w zastoju. Nie można wskazać ani jednego kraju, ani jednej gałęzi przemysłu, gdzieby stosunki były dobre. Wszędzie fabrykanci skarżą się na konkurencyję, na brak zbytu i starają się obcinaniem płacy i t. p. środkami powiększyć swe dochody. Ale to nie pomaga. Towar, choćby najtaniej był wyprodukowany, przynosi stratę właścicielowi, jeżeli nie jest sprzedany. A właśnie o kupca coraz trudniej.

To jest zupełnie naturalne. Na miejsce dawnych drobnych fabryczek powstają coraz większe, a te ze swej strony pobijane są przez inne, produkujące jeszcze więcej i szybciej. Tymczasem ludność, która ma to wszystko kupić, biednieje coraz bardziej zamiast wzbogacać się. Coraz większą staje się liczba proletaryjuszów, którzy tak są biedni, że państwo musi ich brać na swe utrzymanie; dawny, dobrze się mający robotnik — znika; chłop zadłuża się, wszyscy muszą odmawiać sobie najpotrzebniejszych rzeczy. A przeciwko temu żadna siła ludzka nie może poradzić, dopóki istnieje stan rzeczy, który zgromadza kapitały w jednem ręku, a reszcie ludności każe sprzedawać swą pracę za byle jaką cenę. Żelazna konieczność pcha kapitalistów do wyrabiania coraz większej ilości towarów i zwiększa coraz bardziej liczbę ludzi, którzy mało, prawie nic nie kupują.

Burżuazyja tego widzieć nie chce i nie może. Przyznać się do tego, znaczyłoby wyrzec się swego własnego istnienia. Trzeba zatem szukać innej rady. I oto zwrócono się do dawno zapomnianych ceł. One to miały znieść zastój i zapewnić fabrykantom odbyt przynajmniej we własnym kraju. Kwitowano z targu wszechświatowego, byle choć trochę kupców mieć u siebie. Pierwsi zatrąbili na odwrót wielcy właściciele ziemscy. Nie mogąc wytrzymać morderczej konkurencyi rolników amerykańskich, którzy sami wyrabiają tyle zboża, że niekiedy muszą niem palić w piecach, — właściciele ziemscy europejscy zaczęli wołać na całe gardło, że giną i że jedynym ich ratunkiem będzie nałożenie wielkiego cła na zboże amerykańskie. Za nimi poszli i inni przemysłowcy i od kilkunastu lat w Europie słychać tylko o cłach, które już nałożono, albo które mają być wkrótce zaprowadzone.

Co z tego wynikło, wiemy dobrze. Kryzys nie zmniejszył się ani trochę, gdyż w każdym kraju już istnieje więcej towarów, niż ludność może kupić. Jeżeli zdołano podnieść cenę niektórych towarów, to lud zubożał przez to jeszcze bardziej i jeszcze mniej jest w stanie kupować. Burżuazyja sama to czuje, to też w jej łonie panuje zupełne zamieszanie z tego powodu. Podczas gdy jedni żądają jeszcze ostrzejszych ceł, inni chcieliby wrócić do wolnego handlu, spodziewając się odzyskać straconych nabywców. Zażarta walka toczy się o kolonije, zamieszkałe przez ludy, nie posiadające przemysłu, zatem zmuszone kupować wyroby europejskie. Ale i to nie wiele pomaga. Kolonija zostaje szybko zapełnioną wyrobami fabrycznymi i znowu nie ma kupców. Burżuazyja straciła dawną pewność siebie i tylko jeszcze siłę brutalną posiada dla obrony przeciwko tym, którzy chcą innego porządku.

Widzimy więc, że burżuazyja, która zaczęła od wolnego handlu, wszechświatowego rynku i produkcyi międzynarodowej, prowadzonej „po bratersku“, skończyła na tem, że ucieka się pod opiekę tych środków, które sama potępiła. Póki wierzyła w siłę swej gospodarki, miała ona ideały: wolności osobistej i braterstwa między narodami. Ale burżuazyjna gospodarka opiera się na monopolach i na konkurencyi, na przywilejach i na walce człowieka z człowiekiem; ideały więc, głoszone przez nią, nie mogły być urzeczywistnione. Kryzysy przemysłowe wytworzyły walkę w łonie samej burżuazyi, a gdy grunt pod nogami się usuwa, zrozpaczone klasy posiadające niszczą własnemi rękami te bóstwa, w które wierzyły.

Między pracującymi nieraz się zdarza sympatyja do polityki celnej. „Będzie wtedy zarobek“ — mówią oni. Napozór rozumowanie to jest słuszne, ale w rzeczywistości rozwój dzisiejszych stosunków nie od ceł zależy. Większe i silniejsze zasady wchodzą tu w grę i dlatego ani polityka celna ani wolny handel nie są lekarstwami na dzisiejszy bezrząd społeczny. Burżuazyja może się łudzić chwilowemi wygranemi, bo jej polityka jest polityką rozboju i wyniszczenia. Uświadomiony proletaryjat pojmuje już dziś, że kwestyja na czem innem polega, że zło tkwi: w monopolu własności, w konkurencyi i w braku organizacyi pracy.

Naturalnie, że socyjaliści nie mogą być ani za cłami, ani za wolnym handlem. Ten ostatni jest niemożliwy przy dzisiejszym porządku, a cła są z jednej strony ciężarem dla ludu, z drugiej są bronią polityczną w ręku państwa *). Zarówno pierwszy, jak i drugi system jest tylko środkiem napychania kieszeni tej lub owej klasy burżuazyi. A wszystkie gawędy o szczęściu ludu, które ma wyniknąć według jednych z wolnego handlu, według drugich z ceł, są tylko płaszczykiem, pod którym kryją się samolubne popędy klasy bankrutującej i niezdolnej pomódz nietylko innym, ale i sobie samej. Jeżeli socyjaliści występują przeciwko niektórym cłom, a mianowicie przeciwko cłom na wyroby spożywcze, stanowiące codzienną potrzebę każdego, to czynią to nie dlatego, żeby wierzyli w zbawczy wpływ wolnego handlu, ale dlatego, bo cła te uderzają po kieszeni najliczniejszych spożywców — ludu pracującego. Ale wogóle powinniśmy mieć w pamięci nauki, które daje nam historyja wolnego handlu, że jeden i drugi kierunek był tylko wynikiem potrzeb burżuazyi.

*) W państwach konstytucyjnych rząd musi zwykle co roku żądać uchwały dochodów i rozchodów państwowych. Podatki zbierane bez uchwały parlamentu są gwałtem. Rząd wprawdzie może gwałcić prawo, ale wtedy budzi się sumienie ludowe. Cła zaś są uchwalane na dłuższy czas; rząd je łatwiej zbiera i wskutek tego może mieć pieniądze w swem ręku nawet bez uchwały parlamentu.

Z WIELKIEGO ŚWIATA

Są gazety, które podsłuchują bezustannie u drzwi wielkiego świata; przepełnione one są wiadomościami o mowach, uczynkach, a nawet i myślach możnych tego świata. Najwięcej arystokratyczne z nich zajmują się cesarskimi obiadami, królewskimi wyścigami i książęcemi nałożnicami.

Przedświt co innego ma do roboty; on nie u drzwi pańskich podsłuchuje. Zresztą po co ma on podsłuchiwać? Czy sądzicie, że na szali sądu ludowego zaważy coś okoliczność, że ten lub ów władzca lub możny świata tego ma jedną lub dwie utrzymanki, że jest częściej trzeźwym niż pijanym? Panujących i panów sądzić będziemy za zbrodnię panowania. Ich życie prywatne to fatałaszki.

Dziś wszakże odstępujemy od prawidła i podajemy czytelnikowi dwa fakty, niezmiernie ciekawe, bo charakteryzujące „najwyższe“ towarzystwo. Z faktów tych czytelnik będzie mógł sądzić o moralnej sile porządku panującego.

Przenieśmy się do Petersburga w bliskości mostu strogonowskiego nad „*czornoj rieczkoj*“, gdzie mieści się słynna restauracyja Kuba (Cuba). Tam upija się arystokracyja, tam ona się obżera i tam wyprawia bezecne orgije.

Na początku marca b. r. w jednym z pokojów była uczta, do której zasiadło dwóch braci carskich: Aleksy i Włodzimierz, ów sławny wielki książe Włodzimierz, który niedawno bawił się w liberalizm z naszem „społeczeństwem“ warszawskiem. Z kobiet były obecne żona wielkiego księcia Włodzimierza i księżniczka Leuchtenberg, z domu Beauharnais. Po pokoju rozlegały się śmiechy i okrzyki wielkich pijanych i pijanych wielkich. Ale oto nowe rozlegają się głosy, nowe okrzyki mieszają się do wybuchów pijaństwa wielkich książąt i ich samic. Zkąd pochodzą te krzyki? Czy to lud występuje, by skarcić swych ciemięzców? Czy to może głos moralności publicznej, niezdolnej ścierpieć tych bezeceństw?

Niestety! te okrzyki nie mają na celu przerwać książętom ich wesołej zabawy. Przeciwnie! One tylko mają wtórować rozpuście. Oto w sąsiednim pokoju bawi się towarzystwo aktorów z teatru Saint-Michel, z francuskiego teatru petersburskiego.

Aktorzy na tronie, gdy usłyszeli aktorów ze sceny, zaprosili do swego grona sąsiadujących biesiadników, wśród których szczególną wesołością odznaczali się aktor Guitry i aktorka Angele.

Książęca uczta zaczynała przekraczać zwykłe granice wesołości. Wielki książe Włodzimierz dał hasło do nowej zabawy i począł w obecności wszystkich całować Angele. Guitry, który jest, a raczej wtedy był kochankiem tej aktorki, nie był zadowolonym z tej żarłoczności księcia do kobiet i postanowił mu wykazać swój zły humor. Środek, który obrał, był prosty: on ze swej strony począł ściskać wielką księżnę. Brat carski uczuł się obrażonym; między Guitry'm a wielkim księciem rozpoczęła się bójka.

Wielki książę ma wysoki ród i mitrę, ale Guitry aktor, który poprzednio był murarzem, odznacza się natomiast wielką siłą fizyczną. To też walka trwała krótko; niedługo trwało, gdy wielki książe został powalony na ziemię. Zwyciężony zawarł sojusz; pojedynek na butelki zastąpił pojedynek na kułaki. Już pijane towarzystwo zaczęło dalej pić, co rozbestwiło zupełnie kobiety z cesarskiego domu, zapatrzone w siłacza Guitry.

Różnymi sposobami starały się one przyciągnąć do siebie barczystego aktora. Przedstawiały mu one, na co on się naraził dla swej Angele.

— Ach... — przerywa aktor — ona dużo jest warta...

— A ile mnie pan ocenia?... — zapytała Beauharnais, zrzucając z siebie ubranie i ukazując mu się wobec wszystkich w stroju Ewy.

— Oh!.. na 400 rubli... — odpowiada Guitry.

— A ja?.. — mówi wielka księżna Włodzimierzowa, idąc w ślady księżnej Leuchtenberg.

— Dziesięć rubli byłoby przepłacone... — odpowiada aktor, widocznie znawca piękności sprzedajnych.

Nie wiemy, czy Guitry dobiłby targu z wielką księżną za 10 rubli, czy też nie. Scena ta została przerwaną przez nagłe zjawienie się ducha świętego samodzierżawia, a mianowicie przez nagłe wejście Gressera, naczelnika policyi petersburskiej.

Zkąd wziął się tam Gresser? Przyczyna była prosta. Właściciel restauracyi, widząc bójkę między wielkim księciem a Guitry'm i znając siłę tego ostatniego, przerażony możliwym rezultatem tej bójki i pełen obawy o swą odpowiedzialność, pobiegł do Gressera, któremu opowiedział całe zajście i swe obawy. Gresser również zatrwożony wypadkiem przylatuje na miejsce bitwy i wchodzi do pokoju, gdzie zamiast zapaśników widzi obnażone kobiety z domu cesarskiego, które Guitry okiem znawcy ocenia.

Wielki książe zapytuje policyjanta, jak śmiał się zjawić tu i wejść do pokoju bez pozwolenia, a gdy Gresser, zmieszany widokiem i sceną, którą zastał (wobec książąt nawet policyjanci są wstydliwi), nie dał odrazu odpowiedzi, uderzenie w twarz wynagradza jego troskliwość o całość żeber brata cesarskiego.

Teraz przyszła kolej na Gressera czuć się obrażonym, to też nazajutrz podał się do dymisyi, której car z obawy przed bombami nie

przyjął. Car rozpoczął nawet śledztwo, po dokonaniu którego wielki książę Włodzimierz przestał być głównodowodzącym armiją. Aktorowi zaś Guitry oświadczono, że mu kontraktu w teatrze nie przedłużą.

* * *

Z Petersburga do Wiednia droga nie jest tak krótką. Obyczaje wszakże dworów panujących z jednego płyną źródła.

Czytelnicy znają zupewne śmierć następcy tronu austryjackiego, Rudolfa, którego nasi patryjotyczni... społecznicy, żądni mundurków austryjackich, gotowi są uważać za apostoła wolnej miłości. Wszystkie zaś pisma dynastyczne, nie mogąc ukryć skandalu, starały się przedstawić przyszłego gagatka-cesarza jako romantycznego młodzieńca, oddającego życie swe za miłość.

Tymczasem rzecz miała się inaczej. Podajemy czytelnikom naszym zajście, jak je przedstawił ambasador austryjacki w jednej ze stolic europejskich oraz pan Smolka, prezydent Izby, eksrewolucyjonista i demokrata, a dziś fagas cesarski.

Kajzer Franc żądał od swego synalka stanowczego zerwania z baronówną Vestera, jego kochanką i żądał odeń stanowczej odpowiedzi tegoż samego dnia wieczorem, podczas balu, który miał miejsce. Arcyksiążę zgodził się na zerwanie i by dać poznać ojcu swą decyzyję, ucałował go ku wielkiemu zdziwieniu gości. Wiadomość o zerwaniu z baronówną lotem błyskawicy obiegła salę, w której drwiące spojrzenia i wcale niedwuznaczne uśmiechy witały obecną na balu ekskochankę następcy tronu.

Mściwego i namiętnego charakteru dziewczyna, zdemoralizowana nadto przez rodzinę swą, wyzyskującą jej uściski z arcyksięciem, postanowiła zemścić się na Rudolfie, do którego zresztą była przywiązaną z całą namiętnością oszukanej dziewczyny.

Zbliżywszy się doń na balu, wyraziła mu swą zgodę co do zerwania, ale dała mu poznać jednocześnie, że ramiona jej nie odepchną go, gdy się zjawi do niej lub gdy jej da widzenie. Arcyksiążę dał natychmiast nową schadzkę swej porzuconej kochance. Tam to rozszalała dziewczyna postanowiła zemścić się; nożem poczęła ona kaleczyć swego kochanka, chcąc go pozbawić możności kochania innych kobiet.

Wściekły od bólu Rudolf zerwał się, goniąc za uciekającą Vesterą. Nie mogąc jej ubiedz, wystrzelił do niej, to też Vestera zginęła od strzału zadanego jej z tyłu, jak oświadczyli lekarze. Na odgłos wystrzału zbiegła się służba; arcyksiążę nie miał po dokonanem zabójstwie innego środka wyjścia, jak odebrać sobie życie. Taki był przebieg tej sprawy, w której gagatek habsburski odegrał rolę nikczemnego gacha, a nie bohatera romansowego.

* * *

Wobec takich faktów zjawia się zapytanie, jakże ludność może znosić nad sobą panowanie takich nicponiów. Najmniejsza plotka o sąsiedzie naszym burzy nam krew i pobudza nas do „cnotliwego oburzania się", a jednocześnie pozwalamy na to, by taka bezwstydna psiarnia głosiła się za władzców całego kraju?

Przyczyna tego tkwi w politycznej ciemnocie mas. Oświata i organizacyja polityczna położy koniec temu hańbiącemu społeczeństwa stanowi rzeczy.

Walka klas

Nie znajdziesz chyba dzisiaj człowieka,
Któryby nie zwał się ludu przyjacielem...
Któż dziś nie głosi, że „Lud i dla ludu!"
Jest jego hasłem, dążeniem i celem?..
Gdziekolwiek tylko zwróci się robotnik,
W łachman odziany najmita bezrolny,
Każdy doń woła: „Ja współczuję z tobą,
I pragnę szczerze, byś wreszcie był wolny."
I stał się modą dziś program ludowy.
Każdy przysięga, że przy nim stać będzie,
Że w imię jego wciąż walczyć gotowy,
Aż proletaryjat prawa swe zdobędzie...

* * *

Oszust-fabrykant wiedząc dobrze o tem,
Że ludu praca wzbogaca go, tuczy,
Oświadcza przyjaźń swą robotnikowi,
Choć go obdziera i przekleństwa mruczy.
Obłudni złodzieje!

Cary i króle — państwa naczelnicy
Głoszą, że biedny lud bardzo kochają,
A za najmniejszy objaw jego woli
Masy na Sybir lub do więzień pchają.
Nikczemne rządy!

Panowie szlachta, pomni jeszcze czasów
Pańszczyzny — która dla nich była złotą —
Przed światem krzyczą, że chłop jest ich bratem,
W dworach zaś swoich zowią go: „hołotą!"
Podli panowie!

I klecha ciemny, co ludzi ogłupia,
Co grosz ostatni od biednych wydziera,
Prawiąc o niebie, każe znosić nędzę, —
W „obronie ludu" również głos zabiera.
Gasiciele światła!

Jest jeszcze jeden gatunek „przyjaciół",
Co w imię ludu z ciemięzcami jego
W sojusze wchodzą, — a w imię Ojczyzny,
Tradycyi dawnej, której pilnie strzegą,
Jak oka w głowie, — prawią wciąż o zgodzie
„Młodszej" ze „starszą" bracią, — i z tej racyi
Tytułują się mianem „Młodej Demokracyi",
Biorąc w arendę „lud" i „patryjotyzm"
I polityki obłędnej idyjotyzm,
Który w ich mózgach obrał swe siedlisko.

* * *

Parodyją dzisiaj jest praca dla ludu,
Gorzką ironiją są hasła wolności,
Reklamą nędzną — „ludowe" sztandary,
Kłamstwem, przynętą są słowa miłości.
Biedny najmito, czyliż możesz wierzyć,
Że wróg odwieczny będzie tobie bratem,
Że ten, kto z pracy krwawej twojej żyje,
Nie jest ciemięzcą twym — katem?..
Cary, panowie i klechów czereda
I „demokraci młodzi" *et caetera*,
Dłoń sobie dawszy, otoczą cię wiankiem.
I choć z twej twarzy szczerzy zęby bieda,
Oni cię nazwą czule swym kochankiem.

Boski kochanku!.. Śmiech szyderczy zbiera,
Patrząc na taniec lubieżny nierządnic
I na spojrzenia rzucane zalotnie
Na ciebie bracie nędzarzu.

* * *

Lecz cię nie zwabią frazesy i hasła
Choćby jak ogień piekielny — czerwone,
Nie złudzą szumne „ludowe" programy,
Głoszące ludu obronę.

* * *

Precz ze złudzeniem, precz ze zgodą, —
Głośny, bojowy zabrzmiał śpiew;
Niewola walczy ze swobodą, —
Pójdźmy za wolność przelać krew!..

* * *

A gdy uprzątniem ojczysty łan,
Braterskiej zgody przyjdzie czas,
Do nowej pracy staniem wraz
Bez dawnych różnic „sługa" i „pan."
Wtedy wśród nowych świateł pobłysku
Umocnim bratnią ludów nić
Odpoczniem w długim, szczerym uścisku —
Zaczniemy żyć!

Topór.

ZMOWA WOŹNICÓW TRAMWAJOWYCH w Wiedniu

17, 18, 19, ba nawet 21 godzin pracy dziennie, 40 minut odpoczynku na obiad; rzadki dzień odpoczynku i 2 marki 50 fenigów (1 rs. 25 kop.) płacy roboczej tak podczas zawiei śnieżnej, jak i podczas skwaru letniego — oto, co w Wiedniu spotkać można.

Nieczęste nawet przytaczanie danych statystycznych o warunkach życia i pracy woźniców tramwajowych we Wiedniu należycie nam objaśniają pochodzenie nazwy „niewolników tramwajowych", nadaną personalowi tych środków komunikacyi przez wiedeńczyków.

Po kilkakroć zwracali się straszliwie wyzyskiwani woźnice do rady zarządzającej wiedeńskiego towarzystwa tramwajowego o zmniejszenie dnia roboczego i o otrzymanie niezbędnej do utrzymania życia płacy roboczej. Ile razy jednak prosili, tyleż razy otrzymywali odmowną odpowiedź. Radę urządzającą, na czele której znajduje się główny akcyjonaryjusz Reitzes, tyleż obchodzą ludzie znajdujący się w jej służbie, co i konie, stanowiące jego własność, a nawet mniej — konie zmieniają częściej i lepiej są karmione; woźnica może zginąć kiedy i gdzie mu się podoba. Koń kosztuje pieniądze— człowiek jest narzędziem pracy, mogącem być odnawianem zupełnie bezpłatnie; jako woźnica, nie stanowi on nawet towaru, który trzeba wynająć, a więc nic nie kosztuje.

Lecz niestety, mają ludzie, wprawdzie bez zezwolenia towarzystwa tramwajowego, potrzeby i to niemniejsze, niż konie. Nasi woźnice nie posiadali żadnej organizacyi i tylko do kasy towarzystwa obowiązani byli wnosić składki na wypadek choroby i t. p., z której to kasy tylko za okazaniem świadectwa o śmierci mogli otrzymać zapomogę.

Ci to nieszczęśliwi niewolnicy odmówili naraz posłuszeństwa.

Powstanie przeciwko grubo napełnionej kabzie jest uważane za przestępsto nietylko z prawnego punktu widzenia burżuazyi, ale też i z punktu widzenia praw państwowych. Jednakże prawo o jednoczeniu się dla obrony wspólnych interesów dodało woźnicom odwagi, zwrócili się oni do zakładu z żądaniami, które skromniejszemi być nie mogły: 12 godzin pracy i 3 marki 30 fenigów (1 rub. i 65 kop.) płacy dziennie.

Co na to odpowiedział zarząd towarzystwa? Zgodził się na te żądania?.. Ani myśleć! Zmęczonych i głodnych pocieszał nadzieją zmiany za 3 miesiące! Na to opuściła woźniców cierpliwość i na wielkanoc w liczbie 500 osób zawiesili robotę.

Cała ludność wiedeńska sympatyzowała z nimi i ich postępowaniem. Część robotników, posiadająca świadomość klasową podtrzymywała ich moralnie i materyjalnie w walce przeciwko zdziercom. Zarząd groził wydaleniem, strejkujący nie odstępowali od swych żądań. Przejeżdżające wagony publiczność bombardowała kamieniami; zbiegowiska ciągle miały miejsce i oburzenie przeciw dawno znienawidzonemu towarzystwu wybuchło jasnym płomieniem. Ale było to zjawiskiem groźnem dla całej klasy posiadającej! Było to znakiem ukrytej w masach nienawiści do klas posiadających!

Cóż czyniły owe sławne cesarsko-królewskie władze, by położyć koniec nieporządkom? Może rozkazały one natychmiast towarzystwu uczynić zadość skromnym żądaniom zmuszonych do zmowy woźniców? Ale gdzie tam! Myśleli oni o policyi, wojsku, nawet o armatach.

Władze wybrały inną drogę. Użyły wojska. Jasną wtedy stała się dla robotników myśl, że policyja i wojsko istnieją tylko po to, by bronić interesów kapitalisty, że są naturalnymi sprzymierzeńcami pana Reitza i jego godnych towarzyszy. Myśl ta oburzyła masy do tego stopnia, że zwyciężyła strach i obawę przed policyją oraz wojskiem i grad kamieni spotkał tak samo dragonów i huzarów, jak i konnych policyjantów.

Rozpoczęły się wtedy prawidłowe ataki bezbronnej publiczności, czynione szczególniej w nocy. Wojsko zajmowało place publiczne. Aż nareszcie cel został osiągnięty! Pod opieką policyi i wojska kursowały wagony, kierowane przez ludzi, którzy dotychczas nigdy cugli w ręku swem nie mieli. Każdego woźnicę ochraniało czterech aniołów stróżów. Wszystko uratowane! Strejkujący woźnice zatrzymali nadal psi swój żywot, publiczność otrzymała pewną ilość uderzeń szablą, a co najważniejsze, akcyjonaryjusze zachowali dawne swe zyski!

Lecz to jeszcze nie wszystko. Strejkujący, których nic nie może zmusić do opuszczenia drogi prawnego postępowania, sami przez się wzburzają umysły. Ukazanie się liberyi woźnicy bywa witane przez robotników z zapałem. Zresztą potrzebuje towarzystwo liberyj dla nowo zwerbowanych woźniców. A więc dawajcie liberyje! Stróże bezpieczeństwa publicznego wypędzają we wtorek woźniców ze wszystkich lokalów, gdzie ci spokojnie się zbierali. Prócz tego aresztują oni każdego woźnicę, ukazującego się w mundurze i trzymają go tak długo, póki nie zdejmie munduru lub też nie zgodzi się napowrót wziąć się do pracy. Objaśniają im też, że jeśli strejk potrwa jeszcze 6 dni, to wszyscy pochodzący z prowincyi zostaną odesłani do miejsc urodzenia, na co zresztą jeszcze w sobotę dał im „słowo honoru" komisarz policyi, Breitenfeld *). Policyjanci chwytają woźniców za

*) To samo miało miejsce po demonstracyi robotniczej na Placu Zamkowym w Warszawie w zimie 1885 r.

pierś i pytają się ich: „Chcecie jechać czy nie?“ Woźnice, nieobeznani z prawidłami grzeczności policyi, będąc przytem tego przesądnego przekonania, że być aresztowanym jest to wielki wstyd, przekonali się, że może to się zdarzyć każdemu, który jakiemuś panu Reitzowi jest nie na rękę.

Postępowanie takie wychodzi wprawdzie na niekorzyść prawu o wolności stowarzyszania się, ale za to świadomość robotnicza ogromnie na tem zyskuje. Woźnice wystąpią ze strejku zupełnie innymi, niż doń przystępowali. Przedtem w swem niedoświadczeniu ufali oni państwu i klasom posiadającym; teraz nabrali doświadczenia. Naocznie się przekonali o stosunku, jaki istnieje między władzą państwową, policyją, wojskiem i klasami posiadającemi. Przekonali się także o konieczności solidarności z wielką masą uciśnionych i cierpiących.

Strejk wiedeński przyniósł socyjalizmowi korzyść. Idea międzynarodowej rewolucyi zdobyła sobie nowych zwolenników. Zwycięztwa kompanij akcyjnych i przedsiębiorców są zwiastunami ich własnego upadku...

GUSTAW FLOURENS



GUSTAW FLOURENS

Gustaw Flourens (czytaj: Flurans) urodził się w Paryżu 1838 r. Ojciec jego był znakomitym przyrodnikiem, i syn poszedł początkowo po tej samej drodze. Mając 25 lat był profesorem w uniwersytecie i miał tam wykłady o rasach ludzkich, zadziwiając słuchaczów i oburzając swych reakcyjnych kolegów poglądami materyjalistycznymi i rewolucyjnymi.

Gdy wybuchło powstanie polskie, Flourens chciał z początku wziąć w nim udział, ale charakter arystokratyczny, który ono wkrótce przybrało, kazał mu odstąpić od tego zamiaru. Za to w 1866 roku widzimy go walczącym za niezawisłość wyspy Krety, mieszkańcy której powstali przeciwko barbarzyńskiemu despotyzmowi Turcyi. Rząd grecki patrzał krzywem okiem na to powstanie i skorzystał z pierwszej okazyi, by zaaresztować Flourensa i wydać go policyi bonapartystowskiej. Atoli zaledwo go uwolniono, natychmiast wraca do powstańców, z którymi pozostaje aż do ostatnich chwil ruchu.

Powróciwszy do Francyi, Flourens wchodzi w stosunki z socyjalistami, którzy zaczynali w owym czasie walkę z rządem cesarskim i bierze udział w tajnych spiskach oraz w jawnej agitacyi. Za to wkrótce dostaje od sądownictwa, tego wiecznego sługi panujących, pierwsze ostrzeżenie: skazują go na 3 miesiące więzienia za obrazę cesarza. Po wyjściu z więzienia Flourens należy do wielkiej demonstracyi, urządzonej z powodu pogrzebu Ludwika Noir.

Ten dziennikarz, przyszedłszy do jednego z członków rodziny cesarskiej, został przez niego podstępnie zamordowany wystrzałem z rewolweru. To wzburzyło do ostatniego ludność paryską i na pogrzebie zjawiło się 200 tysięcy ludzi. Ciało leżało za miastem; żeby je przewieść do cmentarza, można było jechać przez ulice miasta, albo drogą wiejską. Rząd, obawiając się demonstracyi, zabronił przejścia przez ulice, ale 200 tysięcy ludzi roznamiętnych stanowiło siłę, która mogła złamać wszelki opór. Starcie z wojskiem nie obeszłoby się bez rozlewu krwi i byłoby hasłem do ruchu, a wtedy prawdopodobnie monarchija Napoleona III pękłaby, jak chorobliwy wrzód i Francyja nie potrzebowałaby Sedanu, żeby wejść na drogę, na którą ją później usiłowali wprowadzić ludzie Komuny. Ale jeden z przywódzców opozycyi ówczesnej, Rochefort, od którego wszystko zależało, dzięki jego wpływowi na lud i przyjaźni osobistej z zabitym, był człowiekiem słabym i nieenergicznym; nie ośmielił się poprowadzić ludu przeciwko wojsku i zwrócił orszak pogrzebowy na pola. Okazyja została straconą.

Flourens głęboko odczuł ten smutny wynik demonstracyi i postanowił czekać pierwszej sposobności, by naprawić zło. Wróg nie kazał mu długo czekać. Jak to zwykle bywa z ludźmi, nie mogącymi przystać otwarcie do ludu i oszczędzającymi burżuazyję, Rochefort został ukarany przez tych, na których nie odważył się uderzyć. Wytoczono mu proces, a parlament, którego był członkiem, uchwalił zezwolić na pociągnięcie go do odpowiedzialności i pozbawił go tem nietykalności, przysługującej każdemu deputowanemu. Przy wejściu do sali, w której miało się odbyć zebranie publiczne, Rochefort został porwany przez policyję i wtrącony do więzienia.

Flourens wchodzi do sali i dowiaduje się o tem, co zaszło. Natychmiast zwraca się do obecnych i wzywa ich, by szli za nim, budowali barykady i rozpoczynali walkę z cesarstwem. Poczem wydobywa z laski miecz, wyjmuje z kieszeni rewolwer i aresztuje komisarza policyi, który z obowiązku obecnym był na zebraniu. Sześćdziesięciu robotników idzie za Flourensem. Wyszedłszy na ulicę, przechodzą przez środek dwustu policyjantów, którzy chcieliby rzucić się na nich, ale nie śmieli, widząc swego zwierzchnika, komisarza, w rękach rewolucyjonistów. Potem rewolucyjoniści rzucają się na słynne przedmieście Belleville, ludność którego tak skorą jest do ruchu.

Zaczęto budować barykady i bronić się z poza nich kijami od nadbiegających policyjantów i żołnierzy. Niestety nie było broni, a oficerowie, którzy należeli do spisku, nie byli obecni w koszarach tego dnia i nie mogli jej dostarczyć. Przytem ludność nie przystawała do ruchu w dostatecznej ilości. Wielu, nawet z pomiędzy bardziej dzielnych, nie mając broni, wątpiło o zwycięztwie i wracało do domu. Do drugiej godziny z rana usiłowano walczyć, wreszcie trzeba było rozejść się. Flourens ocalał dzięki swej odwadze. Gdy barykada, której bronił, została wziętą, on pozostał spokojnie koło muru; policyja puściła się w pogoń za uciekającymi i ominęła go.

Naturalnie, że odtąd Flourens musiał przebywać w Paryżu nielegalnie; dla większej swobody w działaniu pojechał do Londynu. Tam zorganizował zamach na życie cesarza. Tyran miał być uderzony ręką tych, na których najwięcej liczył — żołnierzy. Miano wykonać zamach podczas rewii. Zdrada pokrzyżowała jego plany. Oddano go pod sąd i skazano zaocznie na dożywotnie ciężkie roboty i na 6 lat więzienia oprócz tego.

Tymczasem przyjaciele powołali go do Grecyi, w której istniał wówczas ruch republikański. Flourens pojechał, myśląc, że ztamtąd uda mu się przenieść ruch na południe Francyi. Rząd francuski zażądał jego wydania i policyja grecka rada była to uczynić, ale lud ateński wyzwolił go z jej rąk i pokazał tem, że nawet malutki kraik może oprzeć się obcej potędze, byle miał poczucie godności własnej.

Niezadługo potem rozpoczęła się wojna Francyi z prusakami. Na wiadomość o porażkach armii cesarskiej, Flourens wraca do Francyi, spodziewając się zastać tam rewolucyję. Aresztują go, ale rzeczywiście w 10 dni później rewolucyja 4-go września 1870 r. uwolniła go. Ale rewolucyja ta nie dała władzy ludowi. Na miejscu cesarza stanął rząd tak zw. Obrony Narodowej, który składał się z takich samych wrogów ludu, jak i dawniejszy. To też Flourens bierze udział we wszystkich spiskach Blankiego i jego towarzyszy, skierowanych przeciwko rządowi, zasiada z nimi w ratuszu podczas ich kilkogodzinnych rządów w nocy 31 października i później jest wraz z nimi aresztowany.

W styczniu 1871 r. lud uwolnił go z więzienia, poczem kilka batalijonów gwardyi narodowej mianowało go swym naczelnikiem. Jako naczelnik brał udział w wybuchu Komuny 18-go marca; później został mianowany generałem. Jako generał nalegał na szybkie atakowanie wojsk burżuazyjnych, dowodził oddziałem podczas wycieczki 3-go kwietnia i zginął tam pod szablą nieprzyjacielską.

Odtąd każdego roku, przy obchodzie Komuny, robotnicy paryscy pokrywają czerwonymi wiankami jego skromny grobowiec na cmentarzu Père Lachaise.

CZCIONKAMI DRUKARNI PRZEDSWITU. ADRES:
IMPRIMERIE DE L'AURORE, 15, CHEMIN DANCET 15
GENÈVE — SUISSE